

ODRUCH SAMORZUTNY

Urm doznał uczucia nudy.

Ściśle mówiąc, nuda — czyli reakcja na jednostajność i monotonię warunków lub też coś w rodzaju wewnętrznego niezadowolenia z siebie, utrata zainteresowania życiem jest właściwością tylko człowieka i niektórych zwierząt. Żeby się nudzić, należy mieć, jeżeli można się tak wyrazić, czym się nudzić — a więc posiadać wysubtelniony i wysokozorganizowany system nerwowy. Trzeba umieć myśleć lub przynajmniej cierpieć. Urm nie posiadał systemu nerwowego we właściwym znaczeniu tego słowa i nie umiał myśleć. Tym bardziej nie umiał cierpieć. Potrafił tylko absorbować, zapamiętywać i działać. Nie mniej jednak doznał uczucia nudy.

Wszystko zaczęło się od tego, że po wyjściu Pana dokoła Urma nic się nie działo, co warto by zapamiętać. A główny bodziec kierujący działaniem i pobudzający Urma do działania stanowiło gromadzenie nowych doznań. Władła nim nienasycona ciekawość, nienasycone pragnienie przyjmowania i zapamiętywania jak największej ilości faktów. Gdy nie było nieznanymi faktów i zjawisk, należało ich szukać.

Ale całe swoje otoczenie Urm znał do najdrobniejszych szczegółów, do ostatnich granic. Od pierwszej chwili swego istnienia pamiętał to przestronne, kwadratowe pomieszczenie o szarych, szorstkich ścianach, niskim suficie i żelaznych drzwiach. Unosił się tu stale zapach rozgrzanego metalu i olejów transformatorowych. Skądś z góry dochodził niewyraźny, niski szum — ludzie nie mogli słyszeć go bez specjalnych przyrządów, ale Urm słyszał doskonale. Umieszczone pod sufitem lampy jarzeniowe były wygaszone, mimo to Urm zupełnie dobrze widział przy pomocy promieni podczerwonych i impulsów radarowych.

A więc Urm doznał uczucia nudy i postanowił wyruszyć na poszukiwanie nowych wrażeń. Od wyjścia Pana minęło pół godziny. Doświadczenie mówiło Urmowi, że teraz nie należy spodziewać się jego szybkiego powrotu. Było to ważne, gdyż Urm spróbował już raz przedsięwziąć niewielki spacer po pokoju bez rozkazu, i Pan, który zastał go przy tym zajęciu, zrobił coś takiego, że Urm nie był w stanie poruszyć nawet rogiem radarowym. W tej chwili można się było tego raczej nie obawiać.

Urm zakołysał się i zrobił ciężki krok naprzód. Cementowa podłoga zahuczała pod jego grubymi kauczukowymi podeszwami. Urm przystanął i nachylił się nawet, wsłuchując się w ten szum. Ale w gamie dźwięków, spowodowanych wibracją cementu nie było nic nieznanego i Urm z wolna podążył ku przeciwległej ścianie. Przycisnął się do niej i powąchał. Ściana pachniała mokrym betonem i zardzewiałym żelazem. Nic nowego. Urm odwrócił się, przy czym zadrapał ścianę ostrym, stalowym łokciem, przeciął pokój po przekątnej i zatrzymał się przed drzwiami. Otworzenie drzwi nie było rzeczą prostą i Urm w pierwszej chwili nie wiedział, jak to zrobić. Wreszcie wyciągnął zębate szczytce lewej ręki, zręcznie ujął uchwyt zamku i przekręcił. Drzwi otwarły się z lekkim przeciągłym skrzypnięciem. To było bardzo zajmujące i Urm spędził kilka minut na otwieraniu i zamykaniu drzwi, to szybko, to znów wolno, nadśluchując i zapamiętując. Następnie przekroczył wysoki próg i znalazł się u stóp schodów. Schody były wąskie, z kamiennymi stopniami i dość wysokie. Urm momentalnie naliczył osiemnaście stopni do pierwszego podestu, na którym paliło się światło. Bez pośpiechu jął wstępować w górę. Z podestu prowadziły jeszcze inne schody, drewniane, o dziesięciu stopniach, na prawo zaś otwierała się przestrzeń szerokiego korytarza. Po krótkiej chwili wahania Urm skręcił w prawo. Nie wiedział

czemu. Korytarz nie był wcale bardziej interesujący niż schody. Możliwe jednak, że Urm nie miał zaufania do drewnianych stopni.

Korytarz był ciepły, jasno oświetlony podczerwonym światłem. Źródłem promieni były zębate walce, zawieszane nieco nad podłogą. Urm nigdy przedtem nie widział kaloryferów i zębate walce żywo go zainteresowały. Pochylił się i zahaczył o jeden z nich szczypcami obu rąk. Rozleź się krótki trzask i zgrzyt metalu, w górę wzniosł się gest, obłok gorącej pary. Pod stopy Urma buchnął strumień wrzącej wody. Urm podniósł walec ku swej głowie, obejrzał go uważnie, zbadał poszarpane brzegi rury. Następnie walec został odrzucony w bok i podeszwy Urma zachlupotały po kałużach. Doszedł do końca korytarza. Tam, nad niskimi drzwiami błysnął czerwony napis: — „Ostrożnie! Nie wchodzić bez ubrania ochronnego!” — przeczytał Urm. Znał słowo „ostrożnie”, ale wiedział, że zawsze stosuje się do ludzi. Do niego, Urma, słowo to nie mogło się stosować. Wyciągnął rękę i pchnął drzwi.

Tak, tutaj było wiele rzeczy ciekawych i nowych. Stał u wejścia ogromnej sali, wypełnionej przedmiotami z metalu, kamienia i mas plastycznych. Pośrodku, na metr w górę wznosiło się coś okrągłego z betonu, przypominające płaski postument, przykryty żelazną czy też ołowianą pokrywą. Liczne kable rozbiegały się od niego w kierunku ścian, wzdłuż których ciągnęły się marmurowe tablice z błyszczącymi przyrządami i dźwigniami. Betonowy postument był otoczony siatką z miedzianego drutu, z sufitu zwisały kolankowate, lśniące pałki, zakończone nożycami i szczypcami, takimi samymi jak ręce Urma.

Urm, stąpając po wyłożonej kafłami podłodze, zbliżył się do miedzianej siatki i obszedł ją dookoła. Po czym zatrzymał się i obszedł jeszcze raz. W siatce nie było żadnego przejścia. Wówczas Urm podniósł nogę i bez wysiłku przekroczył siatkę. Poszarpane strzępy miedzianej pajęczyny zawisły mu na ramionach. W odległości dwóch kroków od betonowego postumentu stanął jednak jak wryty. Jego okrągła, niby globus szkolny głowa z napięciem i czujnością obracała się w prawo i w lewo, ebonitowe konchy receptorów akustycznych odchyliły się i poruszyły, zadrgały rogi radarowe.

Ołowiana pokrywa na postumencie wysyłała podczerwone promienie widoczne nawet w tym ogrzonym lokalu. Lecz prócz tego wydzielano się spod niej jakieś inne promieniowanie. Urm doskonale widział przy pomocy promieni Rentgena i gamma i wydawało mu się, że pokrywa jest przezroczysta i pod nią otwiera się szczelina studni, bezdennej, napełnionej świecącym pyłem. W głębi pamięci Urma błysnęło wspomnienie rozkazu: natychmiast — stąd odejść. Urm nie wiedział, kto i kiedy wydał ten rozkaz. Prawdopodobnie znał go już od początku swego istnienia, tak samo jak wiedział od razu wiele innych rzeczy. Ale Urm nie posłuchał rozkazu. Przeważała ciekawość. Pochylił się nad postumentem, wyciągnął szczypce rąk i z pewnym wysiłkiem podniósł pokrywę.

Potok promieni gamma oślepił go. Na marmurowych tablicach alarmująco zamigotały czerwone sygnały, ostrzegawczo zawyła syrena. Na mgnienie oka Urm przez ażurowe sylwetki swych rąk zobaczył wewnątrz studni betonowej, następnie rzucił pokrywę oznajmiając niskim, ochrypłym głosem:

— Niebezpieczeństwo! Gefahr! Danger! Wejsia! Abunaj! Przez salę przetoczyło się i zamarło dudniące echo. Urm obrócił o sto osiemdziesiąt stopni górną część tułowia i pośpiesznie skierował się ku wyjściu. Szok wywołany potokiem cząsteczek radioaktywnych w licznikach kontrolnych kazał mu odejść jak najdalej od postumentu. Oczywiście, ani najmocniejsze promieniowanie, ani najpotężniejsze potoki cząsteczek nie mogły w najmniejszym stopniu zaszkodzić Urmowi; nawet dłuższe przebywanie w aktywnej strefie reaktora nie groziło mu poważniejszymi następstwami. Ale konstruuując Urma, jego władcy stworzyli w nim dążenie do trzymania się z daleka od źródeł promieniowania o wielkim nasileniu. Urm wyszedł na korytarz, starannie zamknął za sobą drzwi i

przekroczywszy przez zerwany kaloryfer znalazł się ponownie na podeście klatki schodowej. Tam natychmiast zobaczył człowieka zbiegającego pośpiesznie z drewnianych schodów.

Człowiek ten był znacznie mniejszy niż Pan. Miał luźne, jasne ubranie, włosy niezwykle długie, złociste. Urm nigdy dotąd nie widział takich ludzi. Wciągnął powietrze i poczuł znajomy zapach białego bzu. Pan czasem pachniał tak samo, tylko znacznie słabiej.

Na podeście panował półmrok, schody były jasno oświetlone i dziewczyna nie dostrzegła od razu potężnych zarysów olbrzymiej postaci Urma. Tylko na odgłos jego kroków zatrzymała się i zawołała gniewnie:

— Kto tam łązi? Czy to ty, Iwaszow?

— Dzień dobry, jak się macie? — głucho powiedział Urm.

Dziewczyna wrzasnęła. Z półmroku sunęła ku niej błyszcząca głowa z wypukłymi, szklanymi oczami, nieproporcjonalnie szerokie opancerzone ramiona, grube kolankowate ręce. Urm wstąpił na dolny stopień drewnianych schodów i dziewczyna wrzasnęła po raz drugi.

Nigdy dotąd nie zdarzyło się Urmowi, aby człowiek nie odpowiedział na jego powitanie. Ale ten dziwny, wysoki dźwięk, ostry przenikliwy i bez wątpienia nieartykułowany nie pasował do żadnego typu odpowiedzi, które Urm znał. Zaciekawiony ruszył zdecydowanie w kierunku cofającej się dziewczyny. Drewniane stopnie jęczały i trzeszczały pod jego ciężarem.

— W tył zwrot! — krzyknęła dziewczyna.

Urm zatrzymał się i pochylił głowę przysłuchując się.

— W tył zwrot! Ty potworze!

Urm znał komendę „w tył zwrot”. Na te słowa należało obrócić górną część tułowia o sto osiemdziesiąt stopni i zrobić kilka kroków w odwrotnym kierunku, aż do komendy: „Stój!” Ale rozkazy wychodziły zwykle tylko od Pana i prócz tego Urm chciał zbadać, co się stanie dalej. Ruszył znowu w górę i siedł, póki nie znalazł się przed wejściem do niewielkiego, jasno oświetlonego pokoju.

— W tył zwrot! W tył zwrot! — krzyczała dziewczyna. Urm jednak nie zatrzymywał się już, chociaż siedł wolniej niżby mógł. Zainteresował go pokój — dwa biurka, krzesła, stół kreślarski, szafa z książkami i grubymi skoroszytami. Przez ten czas, gdy Urm wyciągał szuflady, rozwiązywał tasiemki teczek i czytał na głos napisy sporządzone czarnym tuszem na brzegach wykresów, dziewczyna przemknęła do sąsiedniego pokoju, ukryła się za kanapą i chwyciła słuchawkę telefoniczną. Urm widział to, gdyż miał receptor optyczny na karku, ale mały długowłosy człowieczek przestał go interesować. Stąpając po rozsypanych po podłodze papierach zdążył dalej. Za jego plecami dziewczyna krzyczała do telefonu:

— Mikołaj Pietrowicz? To ja, Hala! Proszę was, tu do nas wdarł się Urm. Wasz Urm! Urm! Urm! Urszula — Robert — Mama! Słyszeliście syrenę? Tak! Nie wiem... Spotkałam go, gdy wychodził z hali wielkiego reaktora... Tak, tak, był tam, gdzie reaktor... Co? Widocznie jednak nie. W głównym punkcie sterowania już wiedzą...

Urm nie słuchał. Wyszedł z hallu i tam stanął jak wryty, z natężeniem poruszając czarnymi rożkami radarów. Na przeciwległej ścianie wisiało coś dużego, błyszczącego i zimnego. W promieniach podczerwonych wyglądało jak szary, nieprzenikliwy prostokąt, a w zwykłych promieniach połyskiwało i srebrzyło się, ale nie to stropiło Urma. W dziwnym prostokacie stał czarny potwór z poruszającymi się rogami na okrągłej jak globus szkolny głowie i Urm nie mógł zrozumieć, gdzie się ten potwór znajduje. Wizualny odległościomierz zakomunikował mu momentalnie, że odległość od nieznanego przedmiotu wynosi dwanaście metrów osiem centymetrów, ale radar odrzucił tę informację. „Nie ma żadnego przedmiotu. Jest gładka, prawie pionowa płaszczyzna w odległości... sześciu metrów i czterech centymetrów”. Urm nigdy dotychczas nie widział czegoś podobnego i nigdy jeszcze radar i receptory optyczne nie dawały mu

tak sprzecznych informacji. Jego organizm od samego początku został tak skonstruowany, aby odczuwał potrzebę wy tłumaczenia i zrozumienia każdej rzeczy, z którą się zetknął. Urm ruszył zdecydowanie naprzód, mimochodem stwierdzając i zapamiętując wyjaśnioną już regułę: „odległość według dalekościomierza optycznego równa się odległości wykazanej przez radar, pomnożonej przed dwa...” i wszedł w lustro. Szkło rozprysnęło się, dzwoniącym deszczem odłamków, Urm natknął się na ścianę i stanął. Najwidoczniej nie było tu nic więcej do zrobienia. Urm zdrapał trochę tynku, powąchał i nie zwracając uwagi na białego jak papier dyżurnego milicjanta wczepionego w dzwonek alarmowy, po chrzęszczących szczątkach szkła wyszedł przez drzwi zewnętrzne. Zanurzył się od razu w śniegu i zawiei.

*

Zanim Mikołaj Pietrowicz rzucił słuchawkę, Piskunow był już w przedpokoju i spieszenie naciągał futro.

— Dokąd chcesz iść?

— Oczywiście tam...

— Poczekaj, musimy zastanowić się, co robić. Jeżeli ta machina zacznie szaleć po całej elektrowni...

— Dobrze, jeżeli tylko po elektrowni — przerwał Riabkin. — A laboratoria? A magazyny? A jeżeli zawędruje tu, do osiedla mieszkaniowego?

Mikołaj Pietrowicz myślał intensywnie. Piskunow z ręką na klamce niecierpliwie przestępował z nogi na nogę.

— Powinniśmy pobiec tam wszyscy — nieśmiało zaproponował Kostienko. — Znaleźć go i... no i schwytać!

Piskunow skrzywił się tylko, a Riabkin grzebiący przy wieszaku w poszukiwaniu swego kożucha wykrzyknął gniewnie:

— Łatwo powiedzieć — schwytać! Za co będziecie łaskawi go chwytać? Za portki? Pół tony wagi, siła uderzenia pięści — trzysta kilo... Brednia! Ty, Kostienko, jesteś tu dopiero od niedawna, więc lepiej nie zabieraj głosu.

— Posłuchajcie — rzekł Korolow. — Zrobimy tak. Zadzwoń zaraz do hotelu robotniczego, zaalarmuję praktykantów. Ty, Riabkin, biegnij do parku samochodowego... Ach, niech to diabli! Z pewnością wszyscy są w klubie... Wszystko jedno, biegnij, znajdź chociaż paru kierowców. Trzeba wyprowadzić przynajmniej ze trzy traktory — spychacze... Prawda, Piskunow?

— Tak, tak, i to czym prędzej. Tylko...

— Piskunow, ty pędź do Instytutu, sprawdź, gdzie się Urm znajduje, i natychmiast dzwoń do parku samochodowego. Kostienko, pójdziesz z nim. Zrozumiałe? Diabeł, żeby tylko nie wyrwał się za bramę!

Popychając się i depcąc sobie po piętach wyskoczyli na dwór. Riabkin pośliznął się i wyrznął głową w plecy Kostienki, Kostienko stracił równowagę i upadł.

— Psia krew! Niech to diabli!

— Co, okulary?

— Nie, są, wszystko w porządku.

Wściekły wicher miótł kłęby suchego śniegu nad samą ziemią, zawodził żałośnie w drutach telegraficznych, basem huczał w metalowych koronkach masztów wysokiego napięcia. Z okien

domku na zasy padały zamglone, żółte prostokąty światła, reszta była pogrążona w nieprzejrzanym mroku.

— No, to idę — powiedział Riabkin. — Bądźcie ostrożni, przyjaciele, nie nadstawiajcie karku.

Potknął się znów i dobrą chwilę grzebał się w zaspie, wyklinając najgorszymi słowami zwariowaną zamieć, świńskiego Urma i w ogóle wszystkich, którzy mieli coś wspólnego z tym wydarzeniem. Wreszcie jego jasny kozuch mignął koło furtki i zniknął w wirujących kłębach śniegu.

Piskunow i Kostienko zostali sami.

Kostienko kulił się z zimna.

— Nie rozumiem — powiedział. — Do czego są potrzebne traktory?

— A co byście proponowali? — zapytał Piskunow z zainteresowaniem.

— Nie, nic, po prostu nie rozumiem... Chcecie zmiażdżyć Urma?

Piskunow westchnął spazmatycznie.

— Urm — to jedyna na świecie maszyna, wynik kilku lat twórczej pracy Instytutu Cybernetyki Eksperymentalnej. Rozumiecie? Jakże mogę chcieć go zniszczyć?

Podkasał poły kozucha i zaczął gramolić się przez zaspę. Stropiony i zmieszany Kostienko poszedł w jego ślady. Przed nimi rozciągało się zaśnieżone pole, na którym jesienią jeszcze założono fundamenty pod nowy budynek. Kostienko słyszał, że Piskunow coś pomrukuje potykając się o stosy zmarzniętej cegły i prętów zbrojeniowych. Bardzo trudno było iść. Poprzez zasłonę zawieruchy śnieżnej ledwo prześwitywał wąły łańcuszek świateł instytutu.

— Poczekajcie chwilę... — jęknął wreszcie Kostienko. — Jak Boga Kocham... Nie mogę dłużej. Odpocznijmy chwilę.

Piskunow przykucnął obok niego. Jak się to mogło stać? Znał Urma jak nikt inny w instytucie. Przez jego ręce przeszła każda śrubka, każda elektroda, każda soczewka tej znakomitej maszyny. Wydawało mu się, że potrafi obliczyć i przewidzieć każdy jego ruch w każdych okolicznościach. No i macie. Urm „samowolnie” wyszedł ze swego przyziemia i spaceruje po elektrowni. Jak się to mogło stać?

Zachowanie się Urma jest zależne od jego „mózgu” — niezwykle skomplikowanego i precyzyjnego aparatu z germano-platynowej piany i ferrytu. Jeżeli zwykła maszyna matematyczna posiada dziesiątki tysięcy trygгерów — podstawowych komórek otrzymujących, przechowujących i przekazujących sygnały, to w mózgu Urma było czynnych około osiemnastu milionów komórek logicznych. Zawarty w nich był program na mnóstwo sytuacji, na najprzeróżniejsze zmiany warunków, przewidziane wykonanie wielkiej liczby wszelakich operacji. Co mogło oddziaływać na ten mózg, na program? Promieniowanie silnika atomowego?

Nie, silnik jest osłonięty mocnym zabezpieczeniem z cyrkonu, gadolinu i stali borowej. Praktycznie przez to zabezpieczenie nie może przedrzeć się ani jeden neutron, ani jeden promień gamma kwant. A więc receptory? Nie, receptory jeszcze dziś wieczór były w idealnym porządku. To znaczy, że tajemnica musi kryć się w samym „mózgu”. Program. Nowy, skomplikowany program. Piskunow sam kierował programowaniem. Programowanie... i... No, tak, to nie może być nic innego! Piskunow wyprostował się powoli.

— Odruch samorzutny! — powiedział. — Oczywiście, że to odruch samorzutny! Idiota!

Kostienko spojrział na niego z przerażeniem.

— Nie zrozumiałem...

— A ja zrozumiałem. Jasna rzecz... Ale kto mógł coś podobnego przewidzieć! Wszystko tak dobrze szło...

— Patrzcie! — krzyknął nagle Kostienko.

Krzyknął i zerwał się na równe nogi. Czarnoszare niebo nad instytutem rozjarzyło się nagle błękitnym blaskiem i na tle tego blasku w tumanie zawieruchy wystąpiły zdumiewająco wyraźnie i równocześnie jak gdyby nierealne kontury budynków. Nikły łańcuszek świateł, ciągnących się wzdłuż ogrodzenia instytutu zamigotał i zgasł.

— To transformator! — powiedział Piskunow ochryłym głosem. — Podstacja znajduje się naprzeciwko wieży reaktora. Tam jest Urm... i straż...

— Biegnijmy! — zawołał Kostienko.

Pobiegli. Nie było to jednak takie proste. Dmący w twarz wiatr zwał z nóg, wpadali w doły zasypane suchym śniegiem, przewracali się, zrywali i przewracali znowu.

— Prędej! Prędej! — przynaglał Piskunow.

Łzy wyciśnięte przez wiatr i zdenerwowanie spływały mu po twarzy, zastygały na rzęsach w kształcie mglistych kryształków, przesłaniały wzrok. Piskunow chwycił Kostienkę za rękę i włókł go za sobą, nie przestając powtarzać ochryłym głosem:

— Prędej! Prędej!

Błyskawice nad instytutem zauważono również w osiedlu mieszkaniowym. Zawyła alarmująco syrena, w oknach straży na krańcu osiedla zabłysło światło, polem przeleciał oślepiający promień reflektora. Wyrwał z mroku zasypany śniegowe, ażurowe kontury masztów wysokiego napięcia, przesunął się po murze, otaczającym teren instytutu i wreszcie znieruchomiał przy bramie. Przy bramie poruszały się szybko małe i czarne postacie.

— Kto... tam... jest? — zapytał Kostienko z trudem chwyając oddech.

— Straż. Prawdopodobnie milicja... — Piskunow przystanął, przetarł oczy, głos mu się rwał. — Bramę... zamknęli... Zuchy! To znaczy, że Urm jeszcze tam jest.

Widać było, że alarm dotarł wszędzie. Teraz już nie jeden, ale trzy reflektory macały wzdłuż murów instytutu. W ich błękitnym świetle tańczyły wzniesione w górę słupy śniegu. Poprzez szum i wycie wichru dolatywały krzyki, ktoś wymyślał i kłął. Wreszcie rozległ się ryk silników i zgrzyt gąsienic. Z parku samochodowego wyjeżdżały olbrzymie traktory — spychacze.

— Patrzcie, Kostienko — powiedział Piskunow. — — Patrzcie uważnie! Jesteśmy świadkami niesłychanej obławy, pierwszej w dziejach ludzkości! Patrzcie uważnie, Kostienko!

Kostienko zerknął na niego spod oka. Wydało mu się, że po twarzy inżyniera spływają łzy. Może zresztą wycisnął je tylko wiatr?

Zgrzyt gąsienic słychać było już nie gdzieś z tyłu, ale bardziej na prawo. Traktory wyszły na szosę. Można już było dojrzeć drgające światełka ich reflektorów. Światełek było pięć.

— Pięciu na jednego — szepnęła Piskunow. — Nie ma żadnej szansy. Łuk samorzutny nie pomoże.

I nagle coś się zmieniło. W pierwszej chwili Kostienko nie mógł sobie uprzytomnić, co właściwie. Zawierucha wyła jak przedtem, jak przedtem kłębiły się nad ziemią chmury suchego śniegu, jak przedtem groźnie i pewnie ryczały silniki traktorów. Ale promienie reflektorów przestały błędzić po polu. Skupiły się przy bramie instytutu i znieruchomiały. A brama była otwarta na oścież i nie było przy niej żywego ducha.

— Ki diabeł? — powiedział Kostienko.

— Czyżby on?...

Piskunow urwał. W milczeniu pobiegli jeszcze spieszniej w stronę instytutu. W odległości najwyżej dwustu metrów od bramy Piskunow, który biegł pierwszy, wpadł na człowieka z karabinem. Człowiek wrzasnął ze strachu i rzucił się do ucieczki, ale Piskunow przytrzymał go za ramię.

— Co się stało?

Człowiek w czapce milicjanta kręcił głową jak wariat, wreszcie zaklął i oprzytomniał.

— Wyrwał się — powiedział. — Wyrwał się. Wywalił bramę i uciekł. O mało nie zdeptał Makiejewa. Pędzę do osiedla po posiłki...

— Dokąd poszedł?

Milicjant niepewnie machnął ręką w lewo.

— Zdaje się, że tam... Na szosę...

— To znaczy, że zaraz natknie się na traktory. Chodźmy.

To, co w tej chwili nastąpiło, pozostało im w pamięci na całe życie. Z wirującego tumanu śnieżnego wyłoniło się nagle coś olbrzymiego, bezkształtnego, prosto w oczy błysnęły im zielone i czerwone światelka i ostry, pozbawiony intonacji głos przemówił:

— Dzień dobry, jak się macie?

— Urm, stój! — krzyknął rozpaczliwie Piskunow.

Kostienko zobaczył tylko uciekającego milicjanta, Piskunowa wznoszącego w górę zaciśnięte pięści — po czym olbrzymia postać, złowieszczy potwór w kłębach pary ominął go, podnosząc wysoko grube jak belki nogi i zniknął wśród zawiei.

*

Starannie zamknąwszy za sobą drzwi, jak miał we zwyczaju, o ile przedtem nie wyłamał drzwi, Urm zrobił krok naprzód i stanął. Wszystko dokoła pełne było dźwięków, ruchu, promieniowania. Noc jarzyła się dla niego czarodziejskim, barwnym kalejdoskopem fal radiowych. Przed nim, w odległości trzynastu i pół metrów znajdował się niski budynek o szerokich oknach, zaopatrzonych w żelazne kraty. Budynek wydzielał wyraźne promienie podczerwone. Z wnętrza dolatywało niskie, potężne dudnienie. W powietrzu unosiły się miliardy płatków śniegu. Osiadając na szlifowanych bokach Urma, rozgrzanych ciepłem silnika atomowego, natychmiast topniały i ulatniały się.

Urm pokręcił głową i zdecydował, że najbardziej interesującym i osiągalnym obiektem badań może być tylko niski budynek naprzeciw. Wejście doń znalazł od razu, gdy tylko dostrzegł wydeptaną na podwietrznej stronie ścieżynę. Budynek był obsadzony małymi choinkami i Urm stracił trochę czasu na wyrwanie i obejrzenie jednej z nich. Następnie otworzył drzwi i wszedł.

Dwaj ludzie, siedzący w ciasnym, wąskim pokoiku przy stole na widok Urma zerwali się i popatrzyli na niego z przerażeniem. Urm zamknął za sobą drzwi — nawet na zasuwę — i zatrzymał się przed ludźmi.

— Dzień dobry, jak się macie? — powiedział.

— Czy jest tam towarzysz Piskunow? — zapytał niepewnie jeden z ludzi.

— Towarzysz Piskunow wyszedł. Co mam mu powtórzyć? — powiedział obojętnie Urm.

Ludzie go nie interesowali. Uwagę jego przyciągnęło nieduże, kudłate stworzenie, które wcisnęło się w kąt pod ścianą. „Ciepłe, żywe, o mocnym zapachu, nie człowiek” — określił Urm i powiedział:

— Dzień dobry, jak się macie?

— Wrrr... — odparło stworzenie z rozpaczliwym męstwem, szczerząc ostre, białe zęby i mocniej wciskając się w kąt.

Urm był tak całkowicie pochłonięty obserwacją psa, iż nie zwrócił najmniejszej uwagi na fakt, że milicjanci zręcznie zabarykadowali się stołem i szafą i zaczęli pośpiesznie rozpinać kabury.

Psiak piszcząc żałośnie, z podwiniętym ogonem usiłował przemknąć koło Urma. Ale Urm był o wiele zręczniejszy od psa. Był zręczniejszy od każdego, najzręczniejszego na świecie zwierzęcia.

Jego tułów błyskawicznie i bezdźwięcznie wykonał pół obrotu i długa, wyciągnięta jak rura teleskopu ręka chwyciła psa wpół. W tej samej chwili rozległ się huk strzału: jeden z milicjantów nie wytrzymał nerwowo. Kula dźwięcznie szczęknęła po pancerzu, okrywającym plecy Urma, odbiła się rykoszetem i utkwiała w ścianie. Posypał się tynk.

— Przestań, Sidorenko! — krzyknął drugi milicjant.

Urm puścił dygocącego psa i zwrócił się w stronę ludzi, bladych, ale zdecydowanych na wszystko, trzymających broń w pogotowiu. W powietrzu unosiła się nieznana Urmowi woń prochu bezdymnego. Piesek ukrył się pod nogami milicjantów, ale Urm przestał się już nim interesować. Obrócił się i skierował w stronę następnych drzwi, na których była wymalowana czaszka i skrzyżowane piszczele, przecięte zygzakiem czerwonej błyskawicy. Oślepiali milicjanci patrzyli, jak podobne do kleszczy raka palce Urma wymacują żłobkowy bębenek zamku. Drzwi otworzyły się. Wtedy obaj oprzytomnieli i rzucili się za Urmem.

— Stój! Wróć! Nie wolno!

Czepiali się jego żelaznych boków, zapominając o całym świecie, przejęci przerażeniem na samą myśl, co ten stalowy potwór może narobić w transformatorze. Ale Urm ich po prostu nie dostrzegał. Wysiłki milicjantów nie robiły na nim żadnego wrażenia. Z takim samym powodzeniem mogliby próbować zatrzymać rękami pędzący traktor. Wówczas jeden z nich, odtrąciwszy na bok towarzysza, z bliska, z dołu w górę wystrzelił cały magazynek w głowę Urma. Zalaną światłem halą podstacji wstrząsnęło echo wystrzałów.

Urm zachwiał się. Ebonitowa koncha uszna prawego receptora akustycznego rozleciała się na kawałki. Zgięty róg radarowy zerwał się i zawisł, kołysząc się na drucie. W suficie zabrzęczało strzaskane szkło.

Urm nigdy dotąd nie spotkał się napaścią. Nie posiadał instynktu samoobrony i nie miał doświadczenia w walce z człowiekiem. Ale mógł zestawiać fakty, wyciągać logiczne wnioski i wybierać linię postępowania, zapewniającą mu maksymalne bezpieczeństwo. Na przeprowadzenie tych wszystkich operacji myślowych potrzebował ułamka sekundy. W następnym momencie zrobił zwrot i ruszył na ludzi, wystawiając groźnie swoje straszliwe kleszcze.

Milicjanci rozdzielili się. Jeden schował się za tablicę rozdzielczą, drugi skoczył za stalowy, masywny kadłub najbliższego transformatora, pośpiesznie naładowując pistolet.

— Sidorenko! Pędź do dyżurki, dzwoń, ogłoś alarm! — zawołał.

Ale Sidorence w żaden sposób nie udawało się dotrzeć do drzwi. Urm poruszał się znacznie prędzej niż człowiek i gdy tylko milicjant wychylał się spoza tablicy, Urm natychmiast znajdował się przed nim. Wówczas ludzie postanowili uciekać równocześnie. To im się również nie udało: Urm przebiegał od tablicy do transformatora z szybkością pociągu pośpiesznego.

Tablica rozdzielcza, potrącona niezręcznym ruchem Urma pękła na dwoje, przez otwory przebite kulami w oknach i suficie gwizdał wiatr.

Wreszcie Urmowi sprzykrzyła się ta zabawa i zdecydował się zostawić ludzi w spokoju. Zatrzymał się nagle przed transformatorem i bez wahania wsunął ręce pod osłonę. Milicjanci skorzystali z tego i błyskawicznie wyskoczyli do wartowni. W tym samym momencie rozległ się ogłuszający trzask, wszystko dokoła stanęło w oślepiającym, błękitnym blasku i światło zgasło. Z hali buchnęła ostra woń zwęglonego metalu, dymu, palącego się lakieru. Ogłuszeni, oszołomieni milicjanci nie mogli w pierwszej chwili zrozumieć, co się stało. Natychmiast potem podłoga wartowni zadrżała pod ciężkimi stopami i ostry głos przemówił w ciemności:

— Dzień dobry, jak się macie?

Szczęknięta zasuwka. Drzwi otwarły się ze skrzypem i w niewyraźnym prostokącie na sekundę zarysował się ciężki kontur żelaznego potwora. Po czym drzwi się zamknęły.

Urm szedł przez teren instytutu, grzęznąąc w śniegu i wysoko podnosząc nogi. Instytut był pogrążony w ciemnościach i w tej ciemności nawet czuły na podczerwone promienie wzrok Urma niewiele znaczył. Urm dostrzegał tylko słaby blask dokoła swego brzucha i nóg, na których tajały i parowały płatki śniegu. Parę lekko fosforyzujących sylwetek ludzkich mignęło między budynkami. Urm nie zwrócił na nie uwagi. Szedł, kierując się wskazaniem radaru, chociaż jeden róg radarowy był odstrzelony i Urm nie mógł teraz dokładnie określać odległości.

Zainteresowały go dalekie światelka osiedla, ledwo migocące wśród zamieci. Następnie błysnęły stamtąd jaskrawo błękitne promienie reflektorów. Doszedł do muru, zawahał się chwilę i skręcił w lewo. Wiedział dobrze, że w murach bywają zwykle drzwi. Wkrótce też znalazł się przed bramą. Brama była wielka, żelazna. Najważniejszy jednak był fakt, że okazała się zamknięta. Za bramą słychać było niespokojne głosy ludzkie, przez szparę sączyło się ostre, błękitne światło.

— Dzień dobry — powiedział Urm i nacisnął bramę. Brama nie ustępowała. Była zamknięta. Gdzieś w oddali rozległ się szczeł metalu. Tam, za bramą działo się coś bardzo ciekawego. Urm nacisnął mocniej, później odstąpił, odchylił głowę w tył i z rozpędu uderzył w bramę opancerzoną pierśią. Głosy za bramą ucichły, potem ktoś wykrzyknął niepewnie;

— W tył zwrot! Ej, tam — uważaj — nie strzelaj do tego diabła!

— Dzień dobry, jak się macie? — powiedział Urm. Nabrał rozpędu i uderzył po raz drugi. Brama runęła. Zamek okazał się mocniejszy od zawiasów, wmurowanych w betonowe ogrodzenie, i brama legła na śniegu płasko, jak pokrywa. Urm przeszedł po niej obok milicjantów, którzy rozbiegli się na wszystkie strony, i zanurzył w zawiei, szalejącej na otwartej przestrzeni.

Kroczył, z trudem utrzymując równowagę na rozkopanej ziemi, ukrytej w morzu suchego śniegu. Raz noga jego trafiła w pustkę i Urm upadł. Nigdy dotąd nie zdarzyło mu się przewrócić, ale już w następnej chwili oparł się rękami o ziemię, wyprostował je na całą długość i podkurczył nogi.

Podniósł się i stał chwilę rozglądając się. Przed nim zamigotały światła osiedla. Po lewej, zupełnie blisko, majaczyły zarysy trzech postaci ludzkich, dalej warczały maszyny, jedna za drugą zmierzające ku bramie. Urm skręcił w lewo. Mijając ludzi powitał ich i natychmiast poznał w jednym z nich Pana. Pan mógł pozbawić go możliwości poruszania się. Urm pamiętał o tym doskonale, przyśpieszył więc kroku. Pan pozostał w tyle, zniknął w zawierusze wirującego śniegu.

Urm wyszedł na równy, ubity teren. Ostre światło oblało go od stóp do głów. Potężne, metalowe potwory, niosące przed sobą ciężkie tarcze podsunęły się ku niemu i zatrzymały, parszcząc gniewnie.

Urm stanął w odległości pięciu kroków od pierwszego spychacza, powoli obracał w prawo i w lewo okrągłą głowę i powtarzał:

— Dzień dobry, jak się macie?

*

Inżynier Korolow wyskoczył z traktora. Kierowca krzyknął ze strachem:

— Dokąd, towarzyszu inżynierze?

I wówczas na szosie ukazał się Piskunow. Nastroszony, z potarganymi włosami (czapkę zgubił gdzieś na polu), z rękami w kieszeniach rozpiętego kożucha, obszedł spychacz dokoła i zatrzymał się przed Urmem. Dzielili ich odległość zaledwie pięciu kroków. Urm wznosił się nad inżynierem jak wieża, jego szlifowane boki połyskiwały w świetle reflektorów, na brzuchu parowały kropelki wilgoci, okrągła głowa z wielkimi szklanymi oczami, sterczącymi uszami receptorów i rogiem

radarowym przypominała śmieszne maski z dyni, którymi chłopcy na wsi straszą dziewczęta. Głowa kołysała się miarowo, oczy bacznie śledziły każdy ruch Piskunowa.

— Urm — powiedział głośno Piskunow.

Głowa znieruchomiała, rozczłonkowane ręce opadły wzdłuż tułowia.

— Urm, na moją komendę! Urm odpowiedział:

— Jestem gotów.

Ktoś roześmiał się nerwowo.

Piskunow zrobił parę kroków naprzód i położył rękę w rękawicy na piersiach Urma. Pośpiesznie szukał palcami najważniejszego — wyłącznika, łączącego analityczno–matematyczną część mózgu Urma z układami ruchu i siły. Wtenczas nastąpiło coś niespodziewanego — niespodziewanego dla wszystkich prócz Piskunowa, który tego właśnie lękał się najbardziej. Widocznie w pamięci Urma pozostały skojarzenia łączące ten gest Pana z powstającą zniemacka niemożliwością poruszania się. Ledwo palce Piskunowa zdołały dotknąć wyłącznika, Urm odwrócił się gwałtownie. Opancerzona ręka przeleciała nad głową Piskunowa, który zdążył się uchylić, i Urm bez pośpiechu ruszył szosą w odwrotnym kierunku. Korolow pierwszy odzyskał przytomność umysłu.

— Hej, chłopcy! — zawołał. — Poprowadźcie spychacze z prawej i z lewej! Odetnijcie mu drogę od bramy I Piskunow! Hej, Piskunow!

Ale Piskunow nie słuchał. Zanim spychacze rozdzielając się spełzły z szosy w dwie strony, nurkując w chmurach śniegu, Piskunow pędził za Urmem.

— Urm — stój! — krzyczał wysokim, rwącym się głosem. — Stój, bydlaku! Wróć! W tył zwrot!

Zabrakło mu tchu. Urm przyśpieszał kroku i odległość między nimi wciąż wzrastała. Wreszcie Piskunow stanął, wsunął ręce do kieszeni, wciągnął głowę w ramiona i patrzył za oddalającym się potworem. Korolow i Riabkin dopędzili go. Kostienko szedł na końcu.

— Co ty wyprawiasz? — zapytał gniewnie Korolow.

Piskunow nie odpowiadał długą chwilą.

— Nie słucha — powiedział wreszcie. — Rozumiesz, Kola? Nie słucha rozkazów. To na pewno odruch samorzutny.

Korolow skinął głową.

— Domyśliłem się tego.

— Coś podobnego! — wykrzyknął Riabkin. — Z takim samym powodzeniem moglibyście chcieć, aby pociągi same wybierały właściwą drogę podczas jazdy.

— Co to znaczy — odruch samorzutny? — zapytał nieśmiało Kostienko.

Nikt mu nie odpowiedział.

— A mimo wszystko to coś wspaniałego! — Korolow wytarł nos i w roztargnieniu wsunął chustkę za pazuchę. — Przestał słuchać rozkazów! Można było...

— Chodźmy! — rzekł stanowczo Piskunow.

Tymczasem spychacze ustawiły się w półkole i zaczęły zbliżać do Urma, maszerującego spokojnie po szosie. Jeden spychacz wydostał się na szosę przed nim, odwrócony tyłem do bramy, drugi dopędzał Urma z tyłu, trzy podchodziły z boków — dwa z lewej, jeden z prawej strony. Urm widział prawdopodobnie, że go okrążają, ale nie odgadł, jakie to ma znaczenie. Szedł szosą, póki nie natknął się piersią na spychacz. Nacisnął mocno — traktor zakołysał się lekko, kierowca ścisnął kierownicę z twarzą pełną napięcia. Urm cofnął się i uderzył z rozpędu. Stał dźwięknieła o stal i w prostokacie światła reflektora widać było, jak iskry posypały się w śnieżną mgłę. W tej samej chwili tarcza podchodzącego z tyłu spychacza przywarła do pleców Urma. Urm znieruchomiał, tylko przypominająca globus szkolny głowa powoli obracała się wokół osi.

Pozostałe spychacze podeszły z boków i zamknęły Urmowi ostatnią drogę odwrotu. Znalazł się w potrzasku.

— Towarzysze inżynierowie! Towarzyszu Piskunow! Co dalej robić? — zawołał kierowca z pierwszego traktora.

— Towarzysz Piskunow wyszedł. Co mu powtórzyć? — powiedział Urm.

Zamachnął się i walnął w tarczę spychacza. Potem jeszcze raz i jeszcze raz. Walił systematycznie, miarowo jak bokser podczas treningu, lekko odchylając się za każdym razem i spod zakończonych szczypcami rąk z brzękiem sypały się snopy iskier.

Piskunow w towarzystwie Korolowa, Riabkina i Kostienki biegli ku niemu z pośpiechem.

— Trzeba coś prędko przedsięwziąć, inaczej może się uszkodzić — powiedział z niepokojem Riabkin.

Piskunow bez słowa zaczął wdrapywać się na gąsienicę traktora, ale Riabkin chwycił go i ściągnął z powrotem.

— O co chodzi? — zapytał Piskunow z irytacją. Riabkin odpowiedział:

— Jesteś jedynym człowiekiem, który zna mechanizm Urma do najdrobniejszych szczegółów. Jeżeli ci się coś stanie, to cała historia może się przedłużyć o długie miesiące. Musi pójść kto inny.

— Słusznie — powiedział szybko Korolow. — Ja pójdę.

Jeden z robotników otaczających inżynierów wtrącił się:

— Może wyznaczącego którego z nas? Jesteśmy młodszy, zręczniejsi...

— Ja — odezwał się pośpiesznie Kostienko.

— Mowy nie ma — powiedział Korolow. — Trzymajcie Piskunowa.

Zrzucił futro i wlaż na traktor. Wówczas Piskunow szarpnął się gwałtownie.

— Puszczaj, Riabkin.

Riabkin nic na to nie odpowiedział. Kostienko podszedł z drugiej strony i mocno wziął Piskunowa pod ramię.

A Urm szalał. Dolna część jego tułowia była unieruchomiona przez spychacze, ale górna miała swobodę ruchów i Urm błyskawicznie obracał się na wszystkie strony, z rozmachem walał stalowymi pięściami po żelaznych tarczach. W tumanie śniegu unosiły się nad nim strzępy pary. „Siła uderzenia pięści — trzysta kilo” — przypomniał sobie Kostienko.

— Korolow siedział z zaciśniętymi zębami między spychaczami u stóp Urma i czekał na odpowiedni moment. Uszy pękały od trzasku i huku. Widział, że Urm go zauważył — jego szklane oczy co chwila, z błyskiem czujności zwracały się w jego kierunku.

— Uspokój się, uspokój — samymi wargami szeptał Korolow. — Urm, kochanie, uspokój się! Uspokójże się, ty draniu!

W łoskot uderzeń wplątał się jakiś nowy dźwięk — coś trzasnęło — ręka Urma czy tarcza spychacza. Nie można było dłużej zwlekać. Inżynier wśliznął się pod pięść Urma i przywarł do boku potwora. I wtedy Urm znowu zadziwił wszystkich. Opuścił bezwładnie ręce. Nagle ustał łoskot i znowu dało się słyszeć wycie wichru i warkot silników. Korolow blady, spocony, wyprostował się i wyciągnął rękę do piersi Urma. Rozległo się suche szczęknięcie. Zielone i czerwone światełka na ramionach Urma zagasty.

— Koniec — wymamrotał Piskunow i zamknął oczy.

Ludzie zaczęli od razu mówić nadmiernie podniesionymi głosami, rozległ się śmiech, posypały żarciki. Kierowcy pomogli Korolowowi wydobyć się spod Urma i trzymając go pod ręce sprowadzili na ziemię. Piskunow porwał go w objęcia i ucałował.

— A teraz — powiedział przerywanym głosem — do instytutu. Do pracy. Nie wiem, czy na tydzień, czy na miesiąc... Trzeba go przywołać do porządku i zrobić jednak Urmem — Uniwersalną Roboczą Maszyną.

*

— Wytlumaczcie mi, proszę, co to właściwie było z tym Urmem? — zapytał Kostienko. — I co to znaczy „odruch samorzutny?”

Korolow blady i zmęczony po bezsennej nocy odpowiedział:

— Widzisz, Urm został wykonany na zamówienie Zarządu Komunikacji Międzyplanetarnej. I różni się od najbardziej precyzyjnych maszyn cybernetycznych tym właśnie, że jest przeznaczony do pracy w warunkach, których nie może przewidzieć najgenialniejszy program. Weź na przykład Wenus. Kto wie, jakie tam są warunki? Może jest pokryta oceanami. A może pustyniami. Albo dżunglą. Na razie nie można posłać tam ludzi — to zbyt ryzykowne. Poślemy tam Urmy — dziesiątki Urmów. Ale w jaki program je zaopatrzyć? Cała bieda w tym, że przy dzisiejszym stanie cybernetyki nie można jeszcze nauczyć maszyn, żeby myślały abstrakcyjnie...

— To znaczy?

— Dla maszyny nie istnieje pies w ogóle. Dla maszyny istnieje tylko jeden, drugi, trzeci, konkretny pies. Na widok czwartego, niepodobnego do trzech pierwszych, maszyna już nie będzie wiedziała, co robić. Upraszczając, jeżeli Urm będzie miał program reakcji na psa podwórzowego, to nie będzie mógł tak samo zareagować w stosunku do mopsa. To jest oczywiście uproszczony przykład, ale mam nadzieję, że rozumiesz, o co mi chodzi. Na tym właśnie polega różnica między najmądrzejszą maszyną a najgłupszym człowiekiem, że maszyna nie może operować kategoriami abstrakcyjnymi. Więc Piskunow podjął próbę zaradzenia temu brakowi przez stworzenie maszyny samoprogramującej. Mózg Urma został wyposażony w łańcuch odruchów, których istotny sens sprowadza się do tego, aby samodzielnie zapełniać puste komórki pamięci. Piskunow liczył na to, że po nagromadzeniu doświadczeń, Urm będzie w stanie bez pomocy człowieka wybierać najwłaściwszą w każdym wypadku linię postępowania. Jest to najwyższy w świecie pułap świadomości, osiągniętej przez maszynę. Tymczasem dało to nieoczekiwane wyniki... To jest, Piskunow teoretycznie przypuszczał, że może nastąpić coś podobnego, ale w praktyce... Krótko mówiąc, nowy łuk odruchowy stworzył dziesiątki wtórnych, nie przewidzianych przez program. Piskunow nazwał to odruchami samorzutnymi. Z chwilą zjawienia się ich Urm przestał działać według programu i zaczął „postępować”.

— Cóż teraz począć?

— Poszukamy innej drogi — Korolow przeciągnął się i ziewnął. — Będziemy udoskonalać analizujące możliwości mózgu, układ receptorów...

— No, a ten odruch samorzutny? Nikt się nim nie zainteresuje?

— Oho! Piskunow ma już pewien pomysł... Słowem, pierwszymi badaczami nie znanych planet i nie zbadanych głębin oceanów będą jednak Urmy. Nie będzie potrzeby narażania życia ludzkiego. Słuchaj, Kostienko, może byśmy tak poszli spać, co? Będziesz u nas pracować i dowiesz się wszystkiego, przyrzekam ci.

Przełożyła Janina Dziarnowska